

Wieczory Rodzinne

Nr 37

DZIAŁ DLA DZIECI

13 września 1913 roku.

Dobra babunia.



Kazio rozerwał sukienkę,
Do babuni w trwodze śpieszy,
Wię, że babcia w swej dobroci
Coś poradzi i pocieszy.

Babcia kładzie okulary
I do ręki igłę bierze,
Naprawiła, więc babunię.
Zawsze trzeba kochać szczerze!

I. M.

Podanie o świętym Cieniu.

Dawno to już było, tak dawno, że zapomniano nawet gdzie i kiedy się to stało, w dalekim kraju, wśród niewiernych, żył człowiek, będący dla wszystkich zagadką, przedmiotem podziwu.

Skąd się wziął? nie wiedział nikt; kiedy tu przyszedł? nie pamiętał nikt; dlaczego tak dziwne prowadził życie? nie umiał sobie nikt wytłumaczyć. I nikt nie wiedział, jak się to stało, że go wszyscy czcili i kochali. Czemże zjednał sobie serca wszystkich?

Żadnym czynem nadzwyczajnym, nie wiedziano nawet jak się nazywał, wiódł życie ciche, spokojne, ukryte. Cała wielkość jego polegała na tem, że:

dawał i przebaczał.

Dawał to co posiadał, nie dobra ziemskie, bo tych nie miał, ale skarbami ducha swego szczerze obdzielał wszystkich, a skarbnica ta musiała być niewyczerpaną, bo nie było człowieka, któryby zetknąwszy się z nieznajomym nie został tajnie przez niego obdarowanym. Temu ulżył w pracy; tamtemu dał zbawienną radę; owego pocieszył; za innego odcierpiał karę, bogatego umiał zawsze skłonić do wsparcia nędzarza, rękę zbrodniarza wstrzymywał przed dokonaniem mordu, wszędzie siał ziarna zgody, jedności i miłości.

Byli jednak i tacy, których skarbami swego ducha i serca ująć nie zdołał; byli tacy, którzy się z niego naśmiewali, powstawali przeciwko niemu, klątwami go obrzucali... Byli nawet i tacy, którzy zbrodniczą na niego ośmielali się podnosić rękę... tym wszystkim nie mogąc nic dać, bo przyjąć nie chcieli, przebaczał. A przebaczenie to można było wyczytać w jego oczach, w jego wiecznie pogodnym, uśmiechniętym obliczu. W chwilach takich podnosił ręce błogosławiąc wszystkich złych lub zbłąkanych, oczy wznosił ku niebu, pogrążając się w głębokiej modlitwie błagał Boga o prze-

baczenie dla tych, którzy go pojąć nie chcieli lub nie mogli. Wówczas to, czego nie mógł dokazać potęgą słowa osiągał drogą przebaczenia.

Życiu tego świętobliwego męża przyglądali się nietylko ludzie na ziemi, ale i aniołowie w niebie. Dziwili się oni, jak może istota, przebywająca na ziemi być doskonałą. Chcąc zbliżyć się tak niezwykłemu zjawisku, postanowili zstąpić na ziemię i niewidzialni, krok w krok za świętym śledzić mężem. Badali jego myśli, przysłuchiwali się jego słowom, oceniali jego czyny.

A święty szedł, jak dotąd, spokojnie, przez życie, świecąc bezwiednie przykładem, tak jak gwiazda promienieje nieświadomie, jak kwiat czarowną woń w powietrzu roztacza nieświadomie.

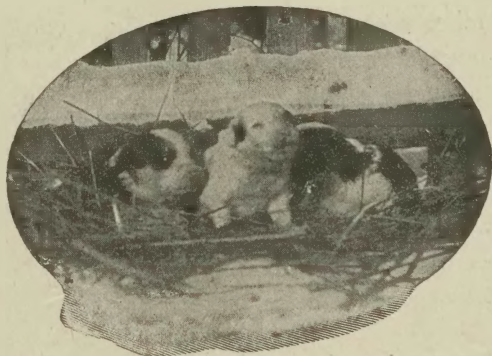
Aniołowie, pełni podziwu i czci postanowili uprosić Boga, by świętobliwego człowieka obdarzył mocą cudotwórczą.

Pan Bóg, przychylając się do ich prośby rzekł:

— Będzie jak chcecie, jeśli tylko on zechce.

Uradowani aniołowie zstąpili wnet na ziemię i niewidzialni otoczyli świętego, jeden tylko, przyjąwszy na się postać cudnego, skrzydlatego młodzieńca ukazał się ulubieńcowi i w te słowa się doń odezwał:

d. n.



Przedziwo Najświętszej Panny.

(BABIE LATO).

Już jesień nadchodzi, już ptaki wędrowne,
Gromadzą się w stada nad wodą,
By wzlecieć na długo w te kraje czarowne,
Gdzie słońce lśni wieczną pogodą.

I któż tu zostanie? Śród wichru i słoty,
Kto słodką się ozwie pociechą?
Gdy tylko na ziemi płacz słyhać sieroty,
I świegot wróbelka pod strzechą.

Lecz z ptaszkiem pół biedy: choć zima go nęka,
Choć wszystko powarzy w swym biegu,
To zawsze się znajdzie pocziwa gdzieś ręka,
Co ziarno mu rzuci na śniegu.

Lecz biedne sieroty... O! Boże mój, Boże!
Te całą już tracą nadzieję,
Bo któż je przytuli i któż je w tej porze,
W cieplejsze sukienki odzieje?

Nie bójcie się dzieci! otrzyjcie oczęta,
Co zaszyły łezkami srebrnemi;
O biednych, maluczkich, Bóg zawsze pamięta,
I nieda im ginąć na ziemi.

Choć wicher szaleje, choć chmury się piętrzą,
I śnieżek rozsypał się w płatkach:
Bóg radzi w tej chwili z swą Matką Najświętszą,
O biednych sierotach i dziatkach.

A święta Panienka łzę tając na oku,
Przywoła służebnic swych grono:
I każe na białym ustawić obłoku,
Jaśniejsze od słońca wrzecieno!

I sama przy srebrnej zasiada kądzieli
I snuje nić długą jak tęczę;

A wszędzie po świecie roznoszą Anieli,
Tej przędzy niteczki pajęczce.

Na krańcach gdzieś ziemi, za wichrów gdzieś śladem,
Ulata nić biała tej przędzy;
Bo Marja chce własnym nam wskazać przykładem,
Jak biednych ratować od nędzy.

O! patrzcie, jak tklwie twarzyczka Jej słodka,
Do biednych uśmiecha się dziełek,
Jak dla was, sierotek, rozsnuwa nić z motka,
Ta Matka, was wszystkich bez matek.

Więc biedne dziecińki! nie płaczcie tak rzewnie,
Choć wicher jesienny już wyje:
Bo z przędzy niebieskiej niejedna dłoń pewnie,
Tu dla was koszulkę uszyje.

Władysław Bełza.



Barbara Radziwiłłówna, żona Zygmunta Augusta.

Opowiadanie motylka.

d. c.

(Powiastka podsłuchana w ogrodzie)

Przecierpiałem wówczas wiele, ale nie mogę powiedzieć, że były to dla mnie zupełnie stracone godziny, przeciwnie skorzystałem bardzo dużo, nauczyłem się myśleć i zastanawiać poważnie, a przedewszystkiem pojąłem, że dobre uczynki zawsze niosą za sobą szczęście i zadowolenie, złe, smutek i niesmak.

Przekonał mię o tem przykład moich małych opiekunek: jeżeli wstały rano, wcześniej przyszły na lekcje i uczyły się pilnie, z ochotą, radość błyszczała na ich twarzyczkach i wesele przeglądało z oczek, wtedy i nauczycielka była mniej surową i nieraz wybuchy śmiechu rozbrzmiewały dokoła. Przeciwnie gdy czasami, chociaż przyznać trzeba, że to się rzadko zdarzało, napadła je chętka próżnowania, cała lekcja szła leniwo, nieswojo, miny były kwaśne, a humory złe. Dnia pewnego te dwie siostrzyczki posprzeczały się o coś bardzo i przez cały czas siedziały skrzywione i nadąsane, nie patrząc wcale na siebie. Trwało to dosyć długo, ale przy końcu lekcji, gdy już książki chowały do szafki, żal im się widać zrobiło zaciemniać sobie życie z własnej winy, spojrzały więc na siebie raz i drugi pojednawczo, uśmiechnęły się i pocałunkiem przypieczętowały ugodę świeżo zawartego pokoju. Buzie ich rozjaśniły się w jednej chwili, a ja pomyślałem jak piękną jest zgoda i uznanie popełnionego przewinienia.

Innego dnia znowu upadł Jani ołówek za kufer; chciała zaraz odsunąć takowy i wydostać swoją zgubę, ale zadanie okazało się nad jej siły i nie mogła dać sobie rady w żaden sposób. Wtedy starsza i mocniejsza Zosia przyszła jej z pomocą i wspólnym trudem z łatwością dokonały tego, co niemożliwem byłoby dla każdej z osobna. Drobne to zdarzenie nasunęło mi myśl, jak wielką potęgą jest jedność

i bratnie połączenie sił swoich dla spełnienia pożytecznego czynu, który mając ogólne dobro na celu staraniem pojedynczej jednostki nie może być wypełnionym. Zauważyłem również w tych dniach niewoli, że ludzie zawsze są czymś zajęci, zawsze pracują, chociaż każdy inaczej, a spostrzeżenie to przydało mi się bardzo w późniejszym życiu.

Pewnego razu dziewczynki ujrzawszy coś ciekawego przed domem wybiegły szybko, pozostawiając mnie samego przy szeroko roztwartych drzwiach.

Nadzieja ocalenia, ucieczki zaświtała mi w głowie... zebrałem resztę sił i podążyłem w tę stronę. Szedłem długo, bardzo długo... nagle owiało mnie świeższe, chłodniejsze powietrze, a potem... nie wiem co się ze mną stało, wpadłem w rodzaj głębokiego snu czy odrętwienia, z którego dotąd nie mogę zdać sobie sprawy.

Trudno mi powiedzieć ile czasu trwał ten szczególny stan, wiem tylko, że gdy wreszcie odzyskałem przytomność, uczułem się zupełnie inną istotą, wszystkie bóle i cierpienia ustały jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, byłem zdrowy, wesoły, swobodny. Ucieszony tą niespodziewaną zmianą chciałem popędzić dalej, rozejrzeć się trochę dokoła. aż tu lekkie skrzydełka uniosły mnie w górę. Byłem więc motylem! Z niewysłowioną radością próbowałem wytrwałości moich skrzydeł, unosząc się po szerokiej przestrzeni napełnionej skrzyniami, ubraniami i sprzętami ustawionymi bez ładu i składu. Wtem strumień ożywczego, balsamicznego powietrza tchnął na mnie ze dworu: ujrzałem jasne obłoki i zielone wierzchołki drzew. Teraz nie zatrzymała mnie tajemnicza, niepojęta przeszkoda, w jednej chwili ujrzałem się na wolności. Skończyły się zatem moje smutki i cierpienia! Usiadłem na kwiecistej gałęzce akacji i rozkoszowałem się dawno pożądanem szczęściem...

Wolność! uroczy, cudnie brzmiący wyraz! ten tylko zdoła pojąć całe jego znaczenie kto długo przebywał w niewoli.

Po pierwszych chwilach zachwytu i upojenia nastąpiła rozważa i zastanowienie. Przypomniałem sobie życie ludzi: wszak każdy z nich ma zajęcie, każdy ma swoje obowiązki, jakiś cel starań i zabiegów... Czyżby owady jedynie miały być wyłączone od pracy, do jakiej przeznaczony jest świat cały?

Z pytaniem tem zwróciłem się do starego, szanownego motyla, który popatrzywszy na mnie życzliwie, rzekł z przejęciem i powagą.

— Patrz, młody bracie, ile tu kwiecica rośnie wśród zieleni; naszem zadaniem jest roznosić na skrzydełkach delikatny pyłek ich pręcików, służyć im za przyjaciela, gońca i powiernika.

Słowa te wyryły się w mej pamięci; w czasie krótkiego motylego istnienia krzątałem się gorliwie między roślinami, przelatując z kwiatu na kwiat, z kielicha na kielich. Raduję się myślą, że nie zmarnowałem życia, że zdołałem wypełnić powinności do jakich mię powołało przeznaczenie i dzięki temu przekonaniu spokojnie oczekuję śmierci, tobie, przyjaściółko, powierzając los mych dzieci.

Zadumał się motylek, zamyśliła się nawet ruchliwa szczympawka, a wtem natrętny wróbel zaświergotał gdzieś w pobliżu i nasi przyjaciele rozbiegli się szybko każde w swoją stronę.

